

O aptekarzu z Jasła,  
który zmienił świat  
i skutkach jego  
wynalazku



Fot. Lukas Baumert z Pixabay

## **Stefan Król (1937-2015)**

Wiek XX przeszedł już do historii. Jeśli patrzeć na jakości historyczne, a nie daty kalendarzowe, wiek XX skończył się w 1989 r. Wraz z upadkiem muru berlińskiego, kiedy to historia zrezygnowała - miejmy nadzieję; ostatecznie - z komunistycznego sposobu uszczęśliwiania ludzi. Wiek XX bywał skracany także na początku. Za jego początek istotny - nie kalendarzowy - uważa się wybuch rewolucji 1905 r. Do głosu politycznego doszły wtedy po raz pierwszy, głosy uprzedniego „wieku pary i elektryczności”. Produkcja przemysłowa zastąpiła produkcję rolną w funkcji głównego regulatora życia

społecznego. Nie wschód słońca, ale syrena fabryczna stała się sygnałem do rozpoczęcia nowego dnia pracy. Sytość i głód zaczęły się rozdzielać w różne regiony geograficzne. Tam, gdzie się nie rozdzieliły, kontakt pozaprodukcyjny między nimi sprowadzał się do strajków i buntów niezadowolonych.

Stabilne społeczeństwa stanowe składające się z ludzi akceptujących to kim są, ustąpiły miejsca społeczeństwom przemysłowym – ludziom niezadowolonym z tego, co mają. Godność rolnika i rzemieślnika przegrywała z bezwzględnością najemcy. Mentalność rolnicza ustąpiła miejsca mentalności technicznej. Przy końcu milenium nawet uprawa roli stała się przemysłem. Zmiany następowały początkowo powoli, później szybciej, ale kierowała nimi właściwie jedna przyczyna: użyteczność. Trudno bez większego zastanowienia zaprzeczyć, że wszystkie wynalazki, wszelkie nowe zasoby energii, są użyteczne dla człowieka, ponieważ poprawiają warunki życia. Silnik spalinowy jest lepszy niż koń w zaprzęgu, gdyż pozwala na szybszą podróż, i to coraz większej liczbie ludzi, co jest –oczywiście – użyteczne, bo większa jest wygoda życia. Do pewnego punktu – niestety, kiedy gęstość spalin uniemożliwi oddychanie.

Jest jeszcze i drugie *niestety*. Kierowanie się jedynie użytecznością wytwarza mechanizm samonapędzający się: wynalazek pociąga za sobą wynalazek. Żeby silnik spalinowy

pracował niezawodnie musi mieć niezawodne świece, które wymagają odpowiednich materiałów, te z kolei odpowiedniej technologii. Na każdym etapie wytwarzania pracują wyspecjalizowane silniki. I tak wplątaliśmy się w nieskończoną spiralę postępu. Dokąd ta droga nas zaprowadzi? Czy płynąc łodzią postępu technicznego napotkamy wodospad, który będzie naszą otchłanią, czy spokojne jezioro odkrywające przed nami krajobraz raju?

Na początku XX wieku rzadko zadawano to pytanie, nie bardzo go sobie nawet uświadamiano. Byliśmy pewni raczej raju. I pewni siebie. Wydawało się, że rozum ludzki wcześniej czy później rozwiąże wszystkie problemy. A te problemy, które nie mają rozwiązania, są po prostu bezsensowne. Człowiek myślał, że staje się bogom równy. To właśnie na progu kolejnego wieku ludzka pycha powiedziała przerażające słowa: *Bóg umarł. Obwieszczam wam Nadczłowieka*. Druga część tego obwieszczenia stała się, niestety, ciałem. Znamy dzieła „nadcłowieka”. Pierwsze zadanie, które sobie nadcłowiek postawił, to znalezienie „podczłowieka”, który będzie ponosił koszty „nadludzkich” celów. Kryteria klasyfikacyjne w różnych miejscach były różne, ale wynik ten sam: Oświęcim i Kołyma różnią się sieszczegółami technicznymi i klimatycznymi, ale nie efektem końcowym. Degradacja człowieka osiągnęła w obu przypadkach absolutne dno.

Zabrzmie to okrutnie, ale nie będzie to chyba przepowiednia zupełnie fantastyczna, gdy powiem, że historię XXI wieku w większym stopniu wyznaczać będą rzeczy, które po nich nastąpią niż miliony ofiar XX-wiecznych totalitaryzmów. Umarli nie mają racji, a współcześni żywi mierzą jakość życia głównie ilością posiadanych przedmiotów, możliwie najnowszych. Produkuje się więc coraz więcej, coraz mniej trwałych i coraz mniej potrzebnych rzeczy. Stare wyrzucamy bez sentymentu do śmieci. Wyznanie Teresy Tatarkiewiczowej, żony wielkiego filozofa: „Bardzo lubię przedmioty, które posiadamy. Przywiązuję się do nich jak do bliskich ludzi wraz z ich wszelkimi usterkami i wadami” - brzmi rzeczywiście jak nie z tego wieku. Nie szacowna dawność lecz nowość są kanonizowane i to bez żadnego procesu dowodowego, po prostu z zasady. Stare bezużyteczne już przedmioty ożywają jedynie wtedy, gdy zatrzyma się przy nich poeta i napisze przejmującą elegię.

*Światło mego dzieciństwa*

*Lampo błogostawiona*

*w sklepach starzyzny*

*spotykam czasem*

*twoje zhańbione ciało*

*a byłaś dawniej*

*jasną alegorią*

*duchem uparcie walczącym*

*z demonami gnozy*

*cała wydana oczom*

*jawna*

*przejrzyście prosta*

*na dnie zbiornika*

*nafta-eliksir pralaszów*

*śliski wąż knota*

*z płomienną głową*

*smukłe panińskie szkiełko*

*i srebrna tarcza z blachy*

*jak Selene w pełni*

Przywołałem fragment jednego z najpiękniejszych wierszy Zbigniewa Herberta *Elegia na odejście pióra, atramentu, lampy naftowej*, nie tylko dlatego, że ja również pierwsze szkolne zadanie domowe odrabiałem przy lampie naftowej, a na starość większość dnia spędzam przy komputerze, więc znam ból przemijania przedmiotów, ból znikania „oswojonej” postaci świata. Historia wzrostu, świetności i upadku lampy naftowej zawiera rzeczywiście morał, którego nie będzie mógł zignorować wiek następny.

Połowa XIX wieku. Urbanizuje się Europa, urbanizuje się Ameryka. New York mający w 1800 r. 60 tysięcy mieszkańców wkroczył w wiek XX z trzema milionami dusz i taką liczbą ciał. Ciała potrzebowały pożywienia, dusza jak to wynika zchoćby z wiersza Herberta – światła: na ulicach i przede wszystkim w mieszkaniach. Ponieważ pęczniał nie tylko Nowy Jork, ale również stare miasta jak Londyn, Paryż oraz zupełnie nowe jak nasza Łódź, ceny świec woskowych rosły szybciej niż liczba mieszkańców w Nowym Jorku. Porzekadło „gra warta świeczki” miało wtedy swój twardy dolarowy sens. Świece oliwne były tańsze ale dawały nienajlepsze światło. Najtańszy był olej z

wielorybów i światło dawał nie wiele gorsze niż świeca woskowa. Dlatego z nim zaczął rodzić się „wiek pary i elektryczności” – co stało się dopiero pod koniec XIX w. – wieloryby zwłaszcza w Arktyce, znalazły się na krawędzi zagłady. Tak wielkie było zapotrzebowanie na tran.

Uratował je skromny aptekarz z Jasła, dziś zupełnie zapomniany galicyjski pionier przemysłu naftowego, Ignacy Łukasiewicz. Poza pracą w aptece i wyrabianiem lekarskich mikstur interesował się olejem skalnym, który często -podróżując po okolicy – spotykał i który tylko nadawał się do smarowania osi kół u wozów. I tak długo go destylował, aż otrzymał przezroczystą żółtawą naftę, dobrze się spalającą. Łukasiewicz, człowiek praktyczny, wpadł wtedy na pomysł ,żeby naftą zastąpić wosk. Zaczął konstruować lampę. I tak długo przy niej majstrował, aż zaczęła bezpiecznie spalać naftę, dając przy tym światło jaśniejsze i równiejsze niż świeca woskowa. Pewne jej odmiany górowały nad świecą łatwością przenoszenia.

Lampa naftowa uratowała wtedy wieloryby. Nie jest to niestety ostatni *happy end* dla wielorybów. Wynalazek Łukasiewicza był oczywiście olbrzymim postępem w stosunku do świecy – postępem w stosunku do oświetlenia. Ale był nie tylko postępem, czyli pożądanym ulepszeniem, pozytywną kontynuacją. Był także początkiem. I to jest w tej historii najważniejsze. Lampa naftowa była pierwszym zastosowaniem oleju skalnego w życiu



codziennym. Za nim poszły następne. Było ich tak dużo i tak zmieniały naszą planetę, że lampa przeszła do sklepu ze starzyzną, a o ropę naftową zaczęły się wojny. Nafta stała się krwią cywilizacji i jest nią do tej pory. A krew czasem podlega transfuzji. Do transfuzji nafty z jednego miejsca globu do drugiego służą olbrzymie statki oceaniczne, które czasami ulegają awarii. Drogocenna ciecz wylewa się do oceanów. Wieloryby są znowu na wymarciu.

Telewizja pokazała przeraźliwy obraz: wieloryby giną masowo na brzegu oceanu. Uciekają z wody zalanej cieczą, która przed wiekiem paląc się w lampach uratowała życie ich dziadków. Śmierć wielorybów jest może jeszcze dlatego wstrząsająca, że te zwierzęta umierają w sposób ludzki. One nie poddają się śmierci, one śmierć wybierają. Wolą umrzeć w powietrzu bez wody niż w wodzie, która jest naftowym smrodem.

Tragedia wielorybów jest częścią globalnej tragedii; tragedii naszej Matki Ziemi spowodowanej cywilizacyjnym zastosowaniem oleju skalnego.

Gdy usłyszymy o jakimś ekstremalnym zachwianiu pogody, wielkiej powodzi lub wielkiej suszy słyszymy najczęściej o El Nino - Dzieciątku, ciepłym prądzie morskim. Istotnie spowodowane przez El Nino ocieplenie ogromnych mas wody w opszarze równika na wschodnim Pacyfiku postawiło na głowie

klimat w wielu częściach świata. Zmiany klimatyczne powodują zmiany w biosferze, najszybciej w biosferze bakteryjnej i wirusowej. Epidemia gorączki Rifta-Valleya na wschodzie Afryki, cholera w Ugandzie i Tanzanii, wzrost malarii w Ameryce południowej, to są udokumentowane już skutki pośrednie El Nino. Przechodząc do następnego ogniwa w łańcuchu przyczyn powiedzieć trzeba, że śmiertelny prąd morski powstał na skutek globalnego ocieplenia klimatu na kuli ziemskiej, do czego w niemałym stopniu przyczyniły się wydzielane do atmosfery spaliny w większości właśnie z oleju skalnego – „eliksiru pralaszów’.



Przyszłość naszej planety leży w naszych rękach, fot.

stokpic z Pixabay

Opowiedziane wyżej zmienne koleje losu obcowania wielorybów z ludzkim postępowaniem w sposób wprost modelowy pokazuje dwuznaczną twarz postępu technicznego. Postęp jest ambiwalentny, i jest to – jak się wydaje – jego konieczna przypadłość. Postęp rodzi, obok zamierzonego przez projektodawców pozytywnego efektu, także niezamierzone efekty uboczne.

Ktoś powiedział, że równanie Newtona są mądrzejsze od samego Newtona. To prawda – w pewnym oczywiście sensie. Newton napewno nie wyobrażał sobie nawet promila konsekwencji, do których doszły pokolenia jego następców rozwiązując równania przez niego pierwszy raz napisane. Podobnie jest z działalnością technologiczną człowieka. Skromny aptekarz z Galicji nie zdawał sobie sprawy, jak potężną rzekę nowych technologii inicjuje swoim wynalazkiem; rzeka Heraklita w porównaniu z rzeką Łukasiewicza wydaje się malutkim strumyczkiem, ta druga jest wręcz Amazonką.. Pierwsza mierzyła jedynie upływ czasu, gdy druga tworzy jego nowe jego odmiany. W rzece Heraklita każde zanurzenie nogi oznaczało wejście do innej części tej samej wody, w rzece Łukasiewicza za każdym razem unosi nas inny płyn. Jak dotąd jednego mogliśmy być pewni: kolejny płyn – w rzeczywistej nie filozoficznej rzece – jest bardziej śmierdzący od poprzedniego. Oczywiście to wszystko było poza zasięgiem wyobraźni galicyjskiego aptekarza, on chciał po prostu rozjaśnić

noce w podkarpackich chatkach.

Sytuacja wynalazku Łukasiewicza nie jest wyjątkowa lecz typowa. Każdy wynalazek jest jak moneta: ma dwie strony. Na awersie ma twarz anioła, z rewersu grozi nam demon. Rozdzielenie tych stron leży, jak się wydaje, poza ludzkimi siłami. W końcu skażenie ludzkiej natury grzechem pierworodnym nie jest tylko biblijnym mitem. Jedynie, co możemy zrobić, to ograniczyć władzę demona.

Pierwszy krok w tym kierunku to ograniczenie wszechwładzy produkcji i absurdalnego dążenia, wprowadzenie w ruch wszystkich planet, wszelkiej ludzkiej pomysłowości. Musimy przestać patrzeć na naturę wyłącznie pod kątem jej wykorzystania, jako na środowisko w zasadzie elastyczne; jego ewentualne opory są co najwyżej przeszkodami, które należy pokonać. Jest to postawa władcy i eksploratora, nie współpracownika. Biblijna parabola siewcy, który sieje, dba o ziemię, pielęgnuje ziemię, jej powierza nadzieję plonu, "a gdy stan zboża na to pozwala, zaraz zapuszcza sierp, bo pora jest na żniwo". Parabola w prosty sposób demonstruje stosunek do przyrody, który można by nazwać stosunkiem sakramentalnym. Zapomnieliśmy o nim zastępując go stosunkiem wyłącznie instrumentalnym. Wyrazem tego ostatniego jest znane przysłowie: lepszy wróbel w garści niż orzeł na drzewie. Otóż nie!

A w każdym razie nie zawsze wróbel w garści jest lepszy od orła na drzewie. Wiek XXI musi – właśnie : musi! – uznać zasadność tego odwrócenia. Wróbel w garści jest okazem z muzeum lub produktem na obiad, ale nie jest już ptakiem: ptakiem jest wyłącznie w zaroślach. I dlatego musimy nauczyć się pewną liczbę wróbli wypuścić z garści i to nie tylko po to, żeby zachować orły w dobrej kondycji, ale żeby na planecie zachować człowieka z nieśmiertelną duszą, tzn. człowieka, pamiętającego o przymierzu zawartego z Bogiem i jego stworzeniem, które, jak wiadomo, Stwórca uznał za dobre.

Wiek XXI czeka trudne wyzwanie: opanowanie sztuki ubożenia. Dobrą propedeutyką do opanowania tej sztuki są w języku polskim „kazania” księdza Jana Twardowskiego. Zakończę więc jednym z takich „kazań”;

*Szukasz prawdy ale nie tajemnic*

*liścia bez drzewa*

*wiedzy a nie zbawienia*

*boisz się opścić na tym czego nie można*

*dotknąć zaczynasz od sukcesu wielki i*

*zbędny*

*nie milczysz ale pyskujesz o Bogu*

*chcesz być kochany ale sam nie umiesz*

*kochać*

*myślisz że sobie zawdzięczasz wyrzuty*

*sumienia*

*nie wiesz że dowodem na istnienie jest to*

*że dowodu nie ma*

*inteligentny a taki niemądry*

Jeśli nie będzie to wołanie na pustyni, wypełniające przykazanie, które Bóg ogłosił po stworzeniu pierwszych ludzi: „Czyńcie sobie ziemię poddaną” nie uczynimy z ziemi niewolnika, jak dyktuje nam mentalność techniczna, ale przekształcimy ją w ziemię obietnicy, w ziemię obiecaną. Wystarczy tylko pamięć – bagatela! – że ziemia nie jest miejscem swawoli, bo rosną na niej drzewa z owocami zakazanymi. O tym właśnie wiek XX starał się

wszelkimi sposobami zapomnieć. Najwyższy czas żeby porzucić paradygmaty zapominania. W zamian mamy obietnice: wieloryby nie będą uciekać z morza, a my będziemy mieć światło w mieszkaniach w długie zimowe wieczory.

**Stefan Król** – kanadyjski fizyk, felietonista, mieszkający w London, Ontario.

---

**Zobacz też:**

Zmierzch Zachodu. Rozważania na Nowy Rok.

---

Cyprian Norwid –

# wczoraj i dziś. Część 2.

**Dwustulecie urodzin poety**

**Kazimierz Braun (Buffalo, NY)**





Józef Łoskoszyński, „Cyprian Kamil Norwid”, rysunek, fot. wikimedia commons

**W roku 2021 upływa 200 lat od urodzenia Cypriana Norwida. Jubileusz 200-lecia urodzin tego wielkiego twórcy to ważna sprawa narodowa - sprawa literatury polskiej i polskiego teatru, a ogólnie sprawa narodowej kultury i narodowej świadomości. „Syn - minie pismo, lecz ty spomnisz wnuku” - napisał Norwid.[1] Wczoraj pomijany - dzisiaj wraca.**

## Norwid zwraca się do artystów

Często posługiwał się Norwid terminem „narodowy artysta”. Co mówi dziś artystom, twórcom różnych dziedzin sztuki w dobie dekonstrukcji, postmodernizmu, postkolonializmu? Gdy w galeriach sztuki odbywają się urągające wszelkiej zdrowej estetyce „performansy”? Gdy na scenach głośno rozbrzmiewa brukowy język? Gdy w wielu powieściach zatarte są uznawane dotąd granice pomiędzy literaturą a pornografią? To tylko niektóre zjawiska, które włączają sygnały alarmowe, gdy rozejrzeć się po współczesnej sztuce.

Norwid wielokrotnie, rozważał zagadnienia sztuki. W *Promethidionie*, poetyckim traktacie, napisał:

I ja tak widzę przyszłą w Polsce sztukę,

Jako *chorągiew na prac ludzkich wieży*

Nie jak zabawkę ani jak naukę,

Lecz *jak najwyższe z rzemiosł apostoła*

*I jak najniższą modlitwę  
anioła.[1]*

Porywająca wizja: wstępowania sztuki do nieba, wstępowania sztuką do nieba. I wizja uprawiania takiej sztuki, którą za swoją przyjmują aniołowie. Tu trzeba wskazać, że w sposób wyróżniający go na tle całej polskiej literatury XIX w., a także polskiego środowiska emigracyjnego, był Norwid człowiekiem głęboko wierzącym, co manifestował m.in. w religijnych wierszach oraz w refleksjach religijnych rozsianych w poezji, w dramatach, utworach prozą i listach. Zacytowanego przed chwilą *Promethidiona* zakończył wezwaniem do czytelnika:

Nie z krzyżem Zbawiciela za sobą, ale z krzyżem *swoim* za Zbawicielem idąc - uważałem za powinność dać głos myślom w tym piśmie objętym.[2]

Wiara nierozdzielnie łączyła się dla Norwida ze sztuką. Sztuka zaś nie mogła, w jego przekonaniu, istnieć bez wiary. Fundamentem całej jego twórczości była postawa katolika i wiernego syna Kościoła oraz dogłębna znajomość Pisma Świętego, przy czym był to katolicyzm głęboki, refleksyjny, intelektualny. Norwid obserwował świat z perspektywy

człowieka wierzącego, a w jego wizji ludzkiego życia i ziemskiej rzeczywistości wyraźnie obecny był Bóg w Trójcy jedyny.

Norwid wielokrotnie rozważał zagadnienia sztuki zarówno w dziełach literackich, jak i teoretycznych.[3] Zwracał się bezpośrednio do twórców sztuki – jakże przydałaby się jego przestroga dzisiaj: „ Artysta bez tradycji *własnej ojczystej* i bez muzeów, to jest *tradycji ogólnej*, rzucony jest losem gdzieniebądź.”[4]

Norwid uprawiał różne gatunki literackie. Dwoma głównymi nurtami jego twórczości były poezja i dramat.

W poezji cechowała go zwięzłość i celność języka i konstruowanych metafor.[5] Norwid odrzucał poezję zastaną. Pisał: „Są, którzy uczą, iż dla poezji trzeba przedmiotów, które nie byłyby suche i niewdzięczne” – i dalej – „Poezja ta, co, ażeby była poezją, potrzebuje przedmiotów niesuchych (...) i czeka na wdzięczne, nie należy do mojej kompetencji”[6] Szydlił ze starej poezji, która była, wedle jego słownictwa, „wdzięczna”, „niesucha”, koniecznie rymowana i generująca wzruszenia, a nie myśli. Domagał się, aby poezja angażowała się bezpośrednio w życie ludzi:

Poezja, która zapomina o tym, że „ona coś robić powinna”

- zapomina przez to samo o zdrowej estetyce (...) Nausica, córka królewska u Homera, „dla tego jest taka piękna, iż do rzeki chodzi prać bieliznę (...) Jest pewna proporcja użyteczności, która jest warunkiem piękna„.[7]

Używał dosadnego, współczesnego słownictwa, sądząc, że właśnie przedmioty, zachowania, zdarzenia realne, konkretne i prozaiczne najdoskonalej przenoszą myśl twórczą z brzegu codziennego życia na brzeg poezji. Pisał:

W tej powszedniości, o! jakże tu wiele  
Mistycznych rzeczy i nieodgadnionych.[8]

Wprowadzając do swej poezji przedmioty zwyczajne, „suche”, rozumiał

ten fenomen, że poeci postępu nieco przynoszący zarówno w rozbracie ze społeczeństwem swym bywali, jakże albowiem, posuwając społeczeństwo w przyszłość i język uczuć przyszłych mu przynosząc, porozumiewać się jasno z obecnością – jakże można swobodnie rozmawiać z ludźmi, których język się tworzy? [9]



Był więc świadomym nowatorem.

Najwybitniejsi polscy poeci XX wieku podążali szlakiem Norwida, a wśród nich Krzysztof Kamil Baczyński, Zbigniew Herbert, Tymoteusz Karpowicz i Tadeusz Różewicz. Wczytywał się w niego młody Karol Wojtyła, który potem, jako Papież Jan Paweł II, wielokrotnie powoływał się na Norwida w swych wystąpieniach. Oni, i wielu innych, przeprowadzali go w „dziś”.

Dramaty Norwid zawsze ukierunkowywał na realizację teatralną. Chciał, aby jego sztuki były grane – czego nigdy, za życia, nie doczekał.

W sztuce zatytułowanej *Aktor* dał fundamentalną definicję teatru:

Teatr ile wiemy – jest atrium spraw niebieskich – i stąd go tak zwiemy.

Atrium było centrum, sercem domu w starożytnym Rzymie, a zarazem z niego można było przejść do innych części domu. Według Norwida zatem „sprawy niebieskie”, sprawy Boże, są, winny być, sercem teatru; mogą być, i powinny być, centrum teatralnej twórczości. Co więcej, te właśnie „sprawy niebieskie”, wyższe, duchowe, winny być drogą i sposobem przedstawiania

w teatrze spraw ziemskich; niebo winno oświetlać ziemię. A więc teatr, sztuka doraźna i materialna, to jest, to powinien być, przedsiomek tego, co duchowe, wieczne, uniwersalne, niematerialne.



Cyprian Kamil Norwid, „Port na rzece”, olej na płótnie, (14, 7×31 cm), Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. wikimedia commons

### **Norwid zwraca się do nas wszystkich**

Norwid sądził, że prawda – jej rozumienie i praktykowanie – jest fundamentem godnego życia człowieka, podstawą właściwego kształtowania stosunków społecznych.[10]

W świecie współczesnym, w przestrzeni publicznej, w środkach masowego przekazu, w zarządzeniach władz natrafiamy dziś co krok na zaprzeczenie prawdy, na kłamstwo, hipokryzję,

manipulację, relatywizm, a także – co równa się kłamstwu – ukrywanie prawdy, uniemożliwianie wypowiedzi, cenzurę, zamykanie kont internetowych, i tak dalej, i tak dalej. W tym kontekście warto się wsłuchać w to, co mówił o prawdzie Norwid. Uważał on prawdę za wartość samą w sobie, ale zarazem podkreślał, że prawda, prawdomówność, jest warunkiem właściwych, uczciwych relacji między ludźmi; uznawał prawdę za spoiwo życia społecznego; nade wszystko wierzył, że prawda jest warunkiem wolności. Zdawał sobie przy tym sprawę, że „kto prawdę mówi, ten niepokój wszczyna”[11] – a więc widział jasno że w każdym wieku i każdym miejscu prawda ma przeciwników.

Zagadnieniu prawdy Norwid poświęcił cały dramat *Za kulisami* – misternie złożony z części (dla autora) współczesnej, a jest to opowieść o balu wydanym w Warszawie w Teatrze Wielkim na rozkaz władz rosyjskich, zapewne w 1864 r., gdy wciąż tliło się jeszcze w kraju Powstanie Styczniowe oraz z części starożytnej, która rozgrywa się w Atenach i Sparcie. Części te połączone są konstrukcją „teatru w teatrze”. Bohater części współczesnej Omegitt napisał sztukę o starogreckim poecie Tyrteuszu, który jest głosicielem prawdy. Omegitt wystawił tę sztukę, aby zagrana została w czasie balu, po to, by zderzyć maski fałszu z twarzy widzów – swoich współczesnych. Aby zmusić ich do zobaczenia siebie samych w prawdzie. Prawda jest w ogóle centralnym zagadnieniem całego dramatu. Jest przeciwstawiona fałszowi,



zakłamaniu, udawaniu, hipokryzji. Goście balowi – personifikujący dla Norwida, europejską społeczność XIX wieku – odrzucili sztukę Omegitta. Skończyła się ona gwizdami, klapą. W jednej ze scen *Za kulisami* Omegitt toczy dialog o prawdzie z gośćmi balowymi, których twarze zakryte są maskami. Tak mówi do maski zwanej „FELIETON”:

Patrząc na przedmiot, nie widzimy bynajmniej powierzchni jednej, ale przez tajemnicze a mistrzowskie poczucie-ogółu widzimy prawie że współcześnie wszystkie inne przedmiotu bryłowości i przecięcia. Im zaś przedmiot widzenia zupełnie jest rozumny w swej całości, tym zupełnie obejmujemy go jednym oka rzutem ze wszech miar. Podobnie jest, i zwłaszcza, z Prawdą! Ona, przede wszystkim będąc całą, od najpierwszej chwili, w której dała się postrzec – udzieliła się ludziom niejako w zupełności.[12]

Maska: „DIOGENES” zapytuje szyderczo Omegitta:

A wyświstany „*Tyrtej*” gdyby po tysiącach lat znalazł się tu, cóż oglądałby i zagaił na maskaradzie żywota?

OMEGITT odpowiada:

Mówiłby zapewne prawdę, wierząc w moc jej: czego zaiste że nie postrzegam, aby ktokolwiek czynił.

Do dialogu wtrąca się inna maska, zwana „DOMINO-SZPIEG” i pyta:

Zaś moc prawdy skąd idzie?” OMEGITT: Pochodzi z jej Całości... a przeto stąd, że prawda jest Ideą powodującą nieustannie równe sobie świadectwo...[13]

Ogólnie *Za kulisami* jest opowieścią o dramatycznym zderzeniu prawdy z fałszem. Stawia druzgoczącą diagnozę choroby europejskiej kultury XIX wieku: oderwała się ona od swych duchowych, chrześcijańskich fundamentów, wyrzekła się chrześcijańskiej wiary i chrześcijańskich ideałów, a w konsekwencji już nie jest chrześcijańska.[14] Kategoriecznie stwierdza to Omegitt:

Cywilizacja europejska jest bękarcia!

Grupa gości balowych w maskach „FIOŁKÓW” oburza się na niego:

Ach!! – – Grubianinie szkaradny... i dlaczego?

Odpowiada Omegitt:

Dlatego, że wszystkie *inteligencje* praktyczne są niechrześcijańskie – a wszystkie *chrześcijańskie* są niepraktyczne!...[15]

Diagnoza ta wynika ze zbudowanego przez Norwida – dzięki posłużeniu się strukturą „teatru w teatrze” – zestawienia kultury Sparty, która stała się martwa, zmaterializowana, nie twórcza, pusta i bezpłodna, z jednej strony, a z drugiej kultury Europy XIX wieku, którą widział tak samo. O Sparcie tamtego czasu wyrokuje Tyrteusz:

Lud ten cały z-żeleźniał [...] i bóg tam nic nie tworzy więcej...[16]

– a słowa te odnosi Norwid do Europy swego czasu, którą określał nawet jeszcze dosadniej:

Europa jest to stara wariatka i pijaczka, która co kilka lat robi rzezie i mordy bez żadnego rezultatu ni cywilizacyjnego, ni moralnego. Nic postawić nie umie – głupia jak but, zarozumiała, pyszna i lekkomyślna.[17]

Skupiłem uwagę na trzech zagadnieniach rozważanych przez Norwida, które wydają się brzmieć dzisiaj szczególnie mocno. Są szczególnie aktualne. Warto słuchać Norwida dyskutując sprawy narodu, sztuki, prawdy.

Sprawy narodu – w sytuacji zagrożenia samego istnienia narodów jako bytów odrębnych, posiadających swą oryginalną tożsamość. Spraw sztuki – gdy obserwuje się degenerację współczesnej sztuki i utratę przez nią energii transcendencji. Spraw prawdy – w czasie gdy kwestionowane jest samo pojęcie prawdy – w sposób najbardziej agresywny zwłaszcza w życiu publicznym, w mediach.

Warto wracać do Norwida, po – jakże aktualnie brzmiące – jego uwagi, analizy, postulaty. Po piękno jego poezji. Po mądrość jego myśli. Natrafiamy na nie co krok, czytając jego dzieła.

Warto do nich wracać. To nasz „wielki, zbiorowy obowiązek”. Obowiązek „późnych wnuków.”[18] Twórczy wkład Cypriana Norwida w polską kulturę jest bowiem ogromny, a na wielu

polach decydujący. Dwustulecie jego urodzin stwarza okazję przypomnienia tego wielkiego twórcy, ponownego odwołania się do niego, korzystania z jego dzieła.



Grób C. K. Norwida na cmentarzu Les Champeaux w Montmorency, Francja, fot. wikimedia commons

\*

**Część 1:**

**Referat wygłoszony przez prof. Kazimierza Brauna 27**

lutego 2021 r., npodczas spotkania Oskar Halecki Institute in Canada w Ottawie.

\*

**Zobacz też:**

Cyprian Norwid - wczoraj i dziś. Część 1.

„Za kulisami” Norwida w inscenizacji Kazimierza Brauna

„Powrót Norwida” z okazji Jubileuszu Kazimierza Brauna.

**Przypisy:**

---

[1] *Pisma Wszystkie*, t. 3, s. 446

[2] J.W. s. 471.

[3] Por. m.in. *O sztuce dla Polaków, O sztuce u starożytnych, Sztuka w obliczu dziejów, Sztuka jako żywy organ społeczny*, w: *Pisma Wszystkie*, t. 6 i 7. Tamże dokładne adresy bibliograficzne.

[4] *W kwestii losów artystów polskich*, *Pisma wszystkie*, t. 6, s. 562.

[5] Na temat poezji Norwida: por. np. Grażyna Halkiewicz-Sojak *Nawiązane ogniwo. Studia o poezji Cypriana Norwida i jej kontekstach*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2010, 65-79. Krzysztof Trybuś, *stary poeta. Studia o Norwidzie*, Wydawnictwo Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, Poznań 2010.

[6] Nota przed *Rzeczą o wolności słowa*, *Pisma Wszystkie*, t. 3, s. 557.

[7] List do Bronisława Zaleskiego datowany 14.V.1869, *Pisma Wszystkie*, t. 9, s. 403.

[8] *W tej powszedniości...* *Pisma Wszystkie*, t. 1, s. 255.

[9] *O Juliuszu Słowackim*, Lekcja 6. *Pisma Wszystkie*, t. 6, s. 458.

[10] Por. Włodzimierz Toruń, *Norwida uwagi o prawdzie*. „Roczniki Humanistyczne” 2009, t. 57, z. 1, s. 9-19.

[11] Tak w *Rozmowie umarłych. Pisma Wszystkie*, t. 1, s. 280.

[12] *Pisma Wszystkie*, t. 4, s. 530. Konrad, w *Wyzwoleniu*, mówi do Maski 17: „Artyzm [...] jest całą prawdą, jeśli jest”[12] Uderzające jest to rozumienie prawdy jako pewnej „całości” zarówno przez Norwida, jak przez Wyspiańskiego. Stanisław Wyspiański, *Wyzwolenie*, Akt II. Konrad i Maska 17.

[13] J.w., s. 532.

[14] Ta diagnoza została postawiona przez Norwida w latach 1860. – zdaje się brzmieć współcześnie.

[15] *Pisma Wszystkie*, t.4, s. 528.

[16] *Pisma Wszystkie*, t 4, s. 497.

[17] List do Konstancji Górskiej z 1881 r., *Pisma Wszystkie*, t. 10, s. 155.

[18] Z wiersza *Klaskaniem mając obrzękłe prawice* już cytowanego – por. przypis 1. Termin „późny wnuk” funkcjonuje powszechnie w Norwidologii.



---

# Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 1.

**Dwustulecie urodzin poety**

**Kazimierz Braun (Buffalo, NY)**



Cyprian Kamil Norwid, fot. Michał Szweycer, 4 stycznia 1871 r.,  
wikimedia commons

**W roku 2021 upływa 200 lat od urodzenia Cypriana Norwida. Jubileusz 200-lecia urodzin tego wielkiego twórcy to ważna sprawa narodowa - sprawa literatury polskiej i polskiego teatru, a ogólnie sprawa narodowej kultury i narodowej świadomości. „Syn - minie pismo, lecz ty spomnisz wnuku” - napisał Norwid.[1] Wczoraj pomijany - dzisiaj wraca.**

## Wprowadzenie

Cyprian Norwid przyszedł na świat 24 września 1821 r. na Mazowszu, w Laskowie-Głuchach koło Radzymina w rodzinie ziemiańskiej. Był poetą, dramatopisarzem, prozaikiem i myślicielem, a także artystą sztuk pięknych.

Przeżył swą młodość w kraju. Wyjechał z Polski w 1842 r. i nigdy już do kraju nie wrócił. Dojrzałe lata spędził na emigracji – w Europie Zachodniej, w Ameryce i ponownie w Europie, osiedliwszy się we Francji. W 1855 r. został uznany przez zaborcze władze rosyjskie za politycznego „wygnańca” i do Polski już nie mógł powrócić – chyba, że wprost na Sybir. Zmarł w Paryżu w biedzie i opuszczeniu w 1883 r.

Do Norwida prowadziła mnie tradycja rodzinna. Mianowicie ojciec mojej babki, Henryki, doktor Konstanty Miller, był w Paryżu przyjacielem Norwida, który umieścił go w swym *Promethidionie*. Z tego powodu już w bardzo młodym wieku uczyłem się wierszy Norwida na pamięć. Drogę do Norwida wskazywali mi następnie wielcy uczeni, znawcy jego dzieła. Profesor Zygmunt Szweykowski, u którego napisałem pracę magisterską o teatrze Norwida; później profesor Irena Sławińska; potem profesor Wiesław Rzońca. I wielu innych. Miałem szczęście rozmawiać o Norwidzie z jego znawcą i inscenizatorem, Wilamem Horzycą. Miałem bezcenną możliwość

wielokrotnie konsultować moje pisanie o Norwidzie i moje przedstawienia jego sztuk z największym Norwidologiem, Juliuszem Wiktorem Gomulickim.

Splacając im wszystkim długi, a przede wszystkim, starając się oddać dobrą przysługę zmarłemu poecie, uważam za swój szczególny obowiązek przypominać go, pisać o nim, mówić o nim właśnie w tym „Roku Norwida”.

\*

## **Norwid wczoraj**

Cyprian Norwid wcześniej rozpoczął błyskotliwą karierę literacką, by w następnych latach życia stworzyć arcydzieła, takie jak wiersz *Fortepian Chopina*, przez wielu uznawany za najwybitniejszy w ogóle utwór poetycki napisany w języku polskim, czy jak dramat *Za kulisami*, będący kunsztownym połączeniem narracji politycznej, krytyki społecznej i uniwersalnej refleksji filozoficznej. W jego dorobku znalazły się setki wierszy i poematów, kilkanaście dramatów, wiele utworów prozą – tworzył mistrzowskie nowele i miniatury, jak *Białe kwiaty* i *Czarne kwiaty*. Pisał studia historyczne i artykuły publicystyczne. Wypowiadał się publicznie na emigracyjnych zgromadzeniach. Pozostawił po sobie przeszło tysiąc listów. Pozostały po nim również dzieła sztuk pięknych: rysunki, obrazy,

rytownictwo.

W twórczości swej Norwid odwoływał się do narodowej i ogólnoeuropejskiej tradycji, a zarazem był odważnym nowatorem. Na zawsze weszły do zbiorowej świadomości Norwidowe frazy, jak ta: „Ojczyzna to wielki, zbiorowy obowiązek”. Największą wartością, promieniującą ze wszystkich jego dzieł jest wolność – wolność jednostki i narodu, wolność w dziedzinie twórczości i wolność polityczna.

Jego nowatorska twórczość oraz bezkompromisowe sądy artystyczne, polityczne i moralne stopniowo odsuwały od niego wielu krytyków, a także i czytelników. Już od 1849 r. datuje się krytyka jego pism, zarzuty „zmanierowania”, „niejasności”, „ciemności” i „zawiłości”; a nawet „samobójczej genialności”. Julian Klaczko, historyk i krytyk sztuki i literatury, „uwierzgnął go” (to wyrażenie samego Norwida[2]) szyderczą etykietą: „*Promethidiony, Zwolony* i inne androny.”[3] W poznańskim „Gońcu Polskim”, ukazał o nim prześmiewczy felieton.[4] W krakowskim „Czasie” wyczytał miażdżące i złośliwe omówienie *Promethidiona* oraz *Zwolona*. [5] Pogarszało się także jego zdrowie. Narastało w nim poczucie klęski.

W listopadzie 1850 r. pisał o sobie do Augusta Cieszkowskiego:

FAKTA. „*Jako zdrowie i siła*” – głuchota. „*Jako członek Ojczyzny*” – wszystkie odrzucone rękopisma. „*Jako wspomnienia*” – sąd, że nie jestem dość idealnym przyjacielem. (...) „*Jako familia*” – bracia na tułactwie, z których starszy opuszczony przez krewnego i „*zdradzony*” w interesach swoich najhaniebniej. „*Jako małżeństwo*” – to, że był kochany i „*zaręczony*”, ale – jak Juliusz mówi: „*pfu! Odebrałem list, że za mąż idzie*” – a potem, jak ten jej majątek stracił i opuścił ją – pisze mi bilecik z przypomnieniem miłości swojej. *Jako społeczeństwo* – to, że społeczeństwo polskie jest najlichsze, tak jak naród polski jest najpierwszy, i że tym sposobem sama znakomitość szwankuje, bo jej zawsze do pokrycia lichości używamy i to, co jest wzniosłego, na szlafrok lichego się przerabia – i stąd nie ma nic. „*Jako znajomości i stosunki*” – to, że za niedługi przeciąg czasu „*zrażę je wszystkie, stracę je wszystkie – bo w nagłych*” tylko i „*ostatecznych*” potrzebach zawzywając pomocy ich, nie mogę naturalnie normalnym odbywać to sposobem – krojem konwencjonalnie słusznym. Tak, jak np. człowiek przejechany na ulicy, kiedy go do znajomych progów pobliskich wnoszą, nie może nie być zabłoconym i skrwawionym.[6]

"dajcie mi też jakie książki z  
"braga i bo idę spać do:  
"ogrodu"

N. 119.

1.



Tegoż roku, podróżowa-  
łem po Polsce - dwóch  
nas było: op. Władisław Wę-  
żyk i ja - mieliśmy  
z sobą kilka dzieł  
tegoż historyi  
dotychczas <sup>nieznanych</sup>  
kronik i pamiętników.  
Szlachci jeden, bardzo  
szanowny <sup>dobry patriota</sup> i dobry  
szlachta, zobaczywszy podróżny  
bibliotekę naszą ruszył  
stawa i mówiąc "Jas"



## FORTEPIAN SZOPENA

Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie  
niekiedyś w swym -  
- Potrze, jak Mytko,  
Blade, jak wit...  
- Gdy rzyje koniec, wspanie do porzutu:  
"Mi staram się ja - nie! - Ja, u wydatnie!"

Byłem u Ciebie w dni te, przedostatnie,  
Gdy podziwiałeś, co chwila - co chwila -  
Do wspaniałej porze Orfeja lyry.  
W której iść skłonił z piśmiem przesła  
I rozmarzył z sobą struny ciotery;  
Trzęsąc się,  
Po dwa - po dwa -  
I sumując z cicha:  
"Zawsze że on  
- Wdzwaić w ton?...  
- By taki mistrze!... że gra... chci, odpycha."

Byłem u Ciebie w te dni, Fryderyku!  
Który rękę, dla swojej brzości:  
Alabastrowej - i walcia - i sztyku,  
I chwiłowych dotknąć jak strusiove pióro;  
Mistrzata mi iść w oczach z klawiaturą  
Z stonowej kości...

Był to

Kartka z „Pamiętnika podróznego” C. K. Norwida, datowana na 16 stycznia 1857 r. oraz rękopis „Fortepianu Chopina”, fot. wikimedia commons.

Szamotał się, ostatecznie zdecydował się wyjechać do Ameryki. Sądził, że na zawsze. Odpłynął z Europy 13 grudnia 1852 r. Po długiej i niebezpiecznej podróży zderzył się z Ameryką boleśnie – był z jednej strony nieprzygotowany: nie miał użytecznego zawodu, ani siły do ciężkiej pracy fizycznej, a z drugiej strony,



był zapewne psychicznie zbyt wrażliwy, zbyt „miękki”, aby zmierzyć się z twardymi realiami codziennej egzystencji w nowym kraju. Prowadził życie nędzarza. Był zupełnie samotny. Snuł się, często chory, po Brooklynie i Manhattanie. Odbył jakąś wycieczkę, zapewne na zachód i północ od metropolii – zanotował, bowiem, że zetknął się z Indianami. Narastała w nim tęsknota za krajem, chęć ucieczki – tym razem z Ameryki. Ale nie miał pieniędzy na bilet. Szczęśliwie poznany w Nowym Jorku arystokrata polski, książę Marcei Lubomirski zaofiarował mu wreszcie pomoc, a gdy został akurat wezwany do Europy, zaprosił Norwida, aby mu towarzyszył w podróży. Przyłączyli się do angielskiego portu w Liverpool 4 lipca 1854 r.

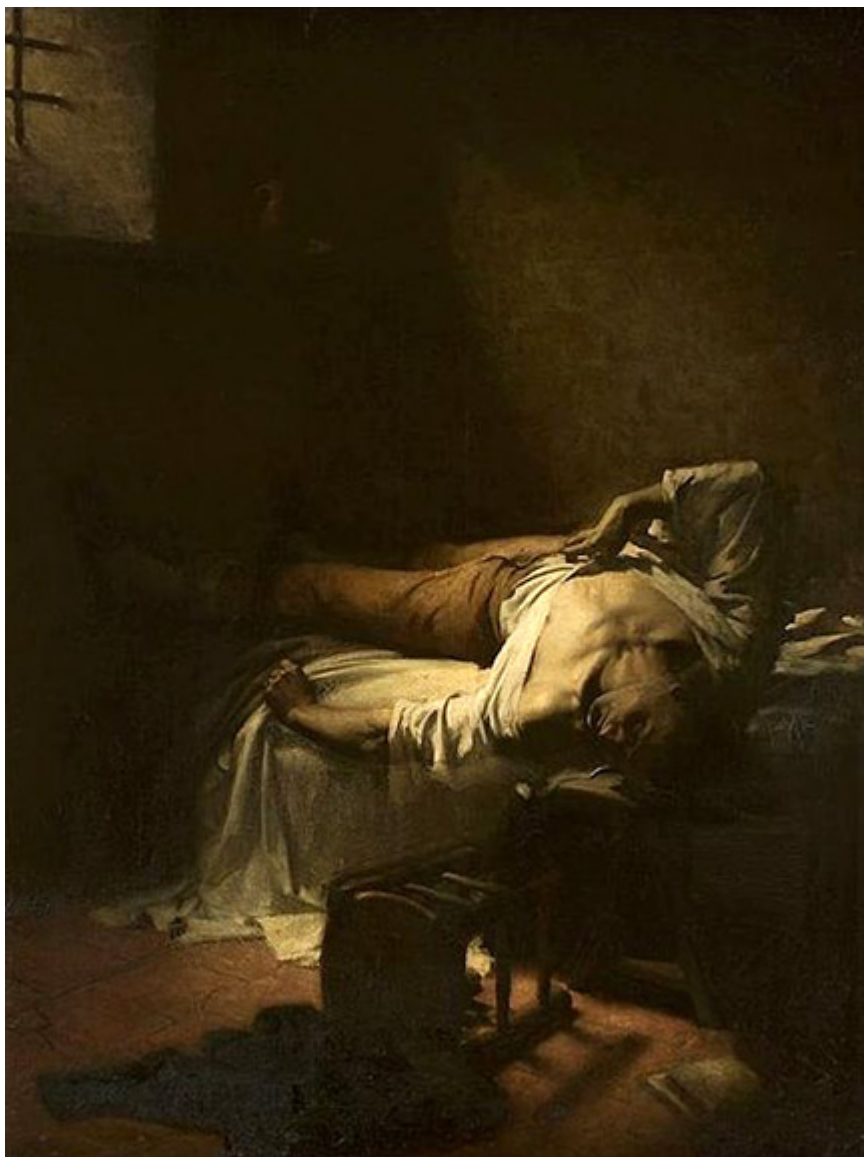
Norwid spędził następnie kilka miesięcy w Londynie, ale nie znalazłszy tam miejsca dla siebie, wrócił do Paryża. Lata 1860. i początek lat 1870. to najbardziej płodny okres jego twórczości. W tym samym czasie jego zdrowie podupadało, a sytuacja materialna stopniowo się pogarszała. W 1877 r. został umieszczony w przytułku im. Św. Kazimierza. Tam zmarł w 1883 r.

Duża część dzieł Norwida – niewydana za jego życia – zaginęła. Stopniowo zaczęto jednak odnajdywać rękopisy.

W krwioobieg polskiego życia literackiego wprowadził Norwida Zenon Miriam-Przesmycki, który opublikował wiele jego utworów

w wydawanym przez siebie czasopiśmie „Chimera” (1901-1908). Następnie zaś wydał wszystkie *Pisma do dziś odszukane* Norwida (w latach 1930. i 1940.). Kolejnej edycji *Pism wszystkich* Norwida dokonał Juliusz Wiktor Gomulicki (w latach 1971-1976), dodając do niej bezcenne kompendium: *Norwid. Przewodnik po życiu i twórczości* (1976). Trzeciego już wydania *Dzieł wszystkich* Norwida dokonuje Julian Maślanka (poczynając od 2013 r.). Liczni wielcy uczeni badali twórczość Norwida: Wacław Borowy, Juliusz Wiktor Gomulicki, Karol Górski, Mieczysław Inglot, Tomasz Miłkowski, Irena Sławińska, Zbigniew Sudolski, Sławomir Świątek, Wiesław Rzońca, Kazimierz Wyka i wielu innych, a sekundowali im uczeni francuscy, holenderscy, węgierscy i inni.

Stopniowo Norwid ogromniał. Zajmował coraz ważniejsze miejsce nie tylko w polskim życiu literackim, ale szerzej i głębiej w polskim życiu umysłowym, w kulturze, w polityce. Niedowartościowany wczoraj, okazuje się być z nami dziś.



Cyprian Kamil Norwid, „W więzieniu”, olej na płótnie (144.5×102 cm), Muzeum Narodowe w Warszawie, fot. wikimedia commons

## **Norwid zwraca się do Narodu**

Ogłuszony – z czasem – otaczającym go milczeniem środowiska literackiego, ciszą i brakiem odzewu na swoje utwory, apele, memoriały, przemówienia, listy, wykłady (a było to połączone z

postępującą fizyczną głuchotą[7]), zwracał się często – jakby ponad poszczególnymi niechętnymi wydawcami, niewrażliwymi odbiorcami listów, nieuważnymi słuchaczami wykładów – wprost do Narodu. Zwraca się w ten sposób do nas.

Zagadnienie narodu stoi dziś niewątpliwie w centrum wielu procesów, którym podlegamy, jest gorącym tematem dyskusji, jest przedmiotem konfliktów. Wystarczy wymienić tylko niektóre hasła – krążące w Internecie, omawiane głośno w parlamentach i po cichu na tajnych naradach: globalizm, nacjonalizm, patriotyzm, suwerenność narodowa, tożsamość narodowa. Wystarczy wskazać eksponentów dążeń do eliminacji państw narodowych: Organizacja Narodów Zjednoczonych, Unia Europejska, wielkie korporacje o globalnym zasięgu. Z drugiej strony można wymienić obrońców istnienia państw narodowych, dla który naród jest wielką wartością. Takie stanowisko zajmuje część elit polskich i słowackich. Taką politykę prowadzą Węgry. Niewątpliwie wielu miejscach globu istnieją jeszcze narody i są ludzie, którzy starają się je umacniać.

A co mówi o narodzie Norwid?

W przemówieniu do „wychodźstwa polskiego” w Brukseli w 1846 t. powiedział: Naród

idzie przez krew, popiół, przez rozczarowanie, przez słowo (...) i poświęcenie, i to, co DZISIAJ się nazywa.

(...) Przez DZIŚ rozumiem to poświęcenie się codzienne i cogo-dzinne, cochwiliowe, i to widzenie w każdej osobie narodowego interesu.” (...) Bowiem NARÓD - Ziomkowie - to jest najstarszy po kościele obywatel na świecie.[8]

Ta potężna wizja ukazuje naród w drodze przez wieki. Norwid widzi pochod wielkiej rzeszy. Ta wizja jest dynamiczna. Bytowanie narodu jest w niej stawaniem się, procesem historycznym, wędrowaniem poprzez kolejne epoki, przez bitwy i pożogi, przez porażki i zdrady, przez przyjmowanie słowa (które może tu być rozumiane zarówno jako Ewangelia, jak i literatura), a wreszcie przez „codzienne i cogo-dzinne” działania i uczynki, które mają na celu dobro narodu. Naród w drodze ma swoją historię i tradycję. Ma swoje terytorium i swoje cechy szczególne. Swoją język. Swoich bohaterów i świętych. Ma swoje aspiracje, tęsknoty, nadzieje, marzenia. Jest zarazem Naród zbiorem jednostek, jest osobą, jest „obywatelem”, jak głosi Norwidowa definicja.

W obszernym artykule, nieopublikowanym za życia oraz w

notatkach do niego, Norwid pozostawił sformułowane z precyzyjną prostotą stwierdzenie, że naród to po prostu „dzieło miłości.” A w tejże nocy – on, oskarżany o „ciemność” – równie jasno napisał:

Znicestwić żadnego narodu nikt nie podoła bez współdziałania obywateli tegoż narodu, i to nie bez współdziałania przypadkowego, częściowego, nominalnego, ale bez współdziałania starannego.[9]

Słowa te, nieczytane wczoraj – jawią się jako boleśnie aktualna przestroga na dzisiaj.

Poeta nieraz zastanawiał się nad tym, czym jest naród; nad stosunkiem narodu do jednostki z jednej strony, z drugiej zaś do ludzkości; nad relacją naród – Kościół. W myśli Norwida „naród” funkcjonował też jako szczególna cecha różnych manifestacji życia narodu jako całości. Pisał więc i mówił o narodowej sztuce, o pracy ducha w narodzie, o narodowej oryginalności, o narodowym interesie, o narodowej pracy. Przemawiając na emigracyjnym zgromadzeniu stwierdził kategorycznie:

Trzeba pojęcie narodowej pracy mieć i poznać. Przez pracę idzie pojęcie oryginalności narodu i własnej narodu

tożsamości. Praca jest tak dalece samodzielnością, że najemnik ulicę brukujący, jeśli tylko tak jak drudzy ręką rusza i nie wkłada w robotę swego oryginalnego akcentu, to próżniak. I doświadczony dozorca pracy oddała go. Pojęcie pracy narodowej całe być musi i zupełne, bo od brukującego ulicę do Kopernika tożsame jest i jedno. I jakkolwiek zbudujesz piramidy pracą niewolnika, jednakowoż nie postawisz niewolniczą pracą na nogi chromego narodu![10]

Naród był dla Norwida zawsze wartością i dobrem, punktem odniesienia i miarą; był centrum i krzakiem gorejącym jego myśli; przyciągał i promieniował.[11]

*Dalszy ciąg ukaże się we wtorek, 11 maja 2021 r.*

\*

**Referat wygłoszony przez prof. Kazimierza Brauna 27 lutego 2021 r., npodczas spotkania Oskar Halecki Institute in Canada w Ottawie.**

\*

**Zobacz też:**

Cyprian Norwid - wczoraj i dziś. Część 2.

„Za kulisami” Norwida w inscenizacji Kazimierza Brauna

„Powrót Norwida” z okazji Jubileuszu Kazimierza Brauna.

## Przypisy:

---

[1] Tak w wierszu *Klaskaniem mając obrzękłe prawice*, który otwiera zbiór *Vade mecum*. Dokładny cytat „Syn - minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku.” Termin „późny wnuk” funkcjonuje powszechnie w Norwidologii. Cyprian Norwid *Pisma wszystkie*. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, t. 2, s. 17. Cytując poniżej to wydanie będę podawał tylko: *Pisma wszystkie*.



[2] Tak w liście do Józefa Bohdana Zalewskiego, z końca maja 1867, PW t. 9, s. 290. Całe zadanie: „Ani jednej w tych czasach książki polskiej nie dotykam bez znalezienia w niej, że, skoro tylko możność i tok, i styl, i margines pozwalają, natychmiast mnie uwierzną i obcasem poczęstują.” Cyprian Norwid *Pisma wszystkie*. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, t. 9, s. 290. Cytując poniżej to wydanie będę podawał tylko: *Pisma wszystkie*. Norwid, odczytany w Biblii, znał niewątpliwie werset Psalmu 41: „Nawet mój przyjaciel, któremu ufałem / i który chleb mój jadał, piętą we mnie godzi.”

[3] Wg. Juliusz Wiktor Gomulicki, *Cyprian Norwid. Przewodnik po życiu i twórczości*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976, s. 68.

[4] Felieton Władysława Dienheim-Chotomskiego, „Goniec Polski” nr. 18, 1851, (27 lutego 1851).

[5] Napisane przez Lucjana Siemieńskiego, opublikowane anonimowo. „Czas” 1851, nr. 191.

[6] *Pisma Wszystkie*, t. 8, s. 111-112.

[7] Cyprian Norwid został zaaresztowany w Prusach w drugiej połowie czerwca 1846 r. z powodu lekkomyślnego uwikłania się

w jakieś fałszerstwa paszportowe i uwięziony w Berlinie. Siedział najpierw siedem dni w ciężkim więzieniu w okropnych warunkach, a potem trzymany był przeszło miesiąc w więziennej klinice. Właśnie tam i wtedy, nabawił się trapiącej go przez resztę życia, postępującej głuchoty.

[8] *Pisma Wszystkie*, t. 7, s.9-10.

[9] [*Znicestwienie narodu*], w: Cyprian Norwid *Pisma wszystkie*. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył Juliusz W. Gomulicki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971, t. 7, s. 85. Cytując poniżej to wydanie będę podawał tylko: *Pisma wszystkie*.

[10] Kazimierz Braun, „*Mój*” *teatr Norwida*. Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2014, s. 187. Powyższy tekst pochodzi z: *Powrót Norwida. Monodram*. Oparty jest o: Cyprian Norwid, *Do Spartakusa (o pracy)*, *Pisma Wszystkie*, t. 6, s. 641.

[11] Różne rozumienia, aspekty i znaczenia nadawane przez Norwida słowu “naród” były analizowane w różnych publikacjach. Por. zwłaszcza praca Antoniego Dunajskiego, *Najstarszy po Kościele obywatel*, Pelplin 1996.

---

# Luty w tradycji i przysłowiach



Kulig, fot. pinterest

**Włodzimierz Wójcik (1932-2012)**

Kilkadziesiąt lat temu lubiłem jako chłopak, potem młodzieniec przeglądać stare roczniki „Tygodnika Ilustrowanego”, a następnie komplety prenumerowanego przez babcię „Rycerza Niepokalanej”. Duże wrażenie robiły na mnie ilustracje z cyklu „Zima na Wileńszczyźnie”. Przedstawiały zazwyczaj srebrzysty pejzaż zaśnieżonej polany leśnej, pędzące sanie pełne ludzi odzianych w grube futra, a za nimi watahy atakujących wilków. Groza. Groza. Jednak oglądający te sceny nie doznawałem strachu. Oto bowiem zza śnieżnych chmur widać było Matkę Boską Gromniczną w powłóczystej sukni, zapaloną żągnięciem odpędzającą groźne zwierzęta. Właśnie drugiego lutego moja babcia wracała z poświęcaną w kościele świecą gromniczną, która przez cały rok miała służyć odpędzaniu zła; jednocześnie towarzyszyła umierającym w ostatnich chwilach życia.

Jak było, tak było. Jedno jest pewne, że w święto Matki gromnicznej zło zostało powstrzymane. Pod Stalingradem armia generała Paulusa została okrążona i dwieście tysięcy niemieckich wycieczkowiczów w ramach akcji „Drang nach Osten” po „lutowej grudzie” leniwie maszerowało do niewoli. Bo przecież luty to nie przelewki. Te prawdy lud polski zna doskonale.

Od stuleci mówiło się w Polsce: „Gdy zbliża się luty, szykuj ciepłe buty”; „Luty miesiąc bardzo zmienny, pół zimowy, pół wiosenny”; „Dzionki mroźne i dni pluty, słowem zwykły miesiąc – luty”. Niektórzy znawcy przysłów dodawali z otuchą: „Gdy mróz w

lutym tego trzymie, nie popasać długo zimie”. Rolnicy doskwierające zimno najkrótszego miesiąca w roku brali za dobry omen powiadając: „Gdy wiatr ostry w lutym wieje, to chłop dobrą ma nadzieję”.

Przypominam sobie te przysłowia, które – jak powszechnie wiadomo – są mądrością narodu (bo przecież powstały na gruncie długotrwałych obserwacji rodzimego klimatu) i czuję spore zakłopotanie. Teraz luty jest po prostu jakiś niemrawy, nietypowy, nawet hybrydyczny. Wieczorne gęste opary mgieł, rankami opadają zaledwie lekkim szronem. Za oknami spostrzegam grube, mięsiste pąki bzu i dość bezczelnie wychylające się spod suchych, jeszcze nie zgrabionych całkowicie liści kwiaty ogrodowych prymulek. Zimą obecnie mamy zaszczyt oglądać na ekranie telewizyjnym i to w specjalnym kształcie: oto wspaniałe gaje mandarynkowe czy pomarańczowe zasypane śniegiem trzęsą się z zimna (to w Los Angeles), plaże ciepłych mórz świecą pustkami z powodu zadymek, młodzież południowych krańców Włoch, czy Grecji coraz częściej zażywa białego szaleństwa. Nasza młodzież – niestety – spędza „zimowe” ferie na suchych zaprawach narciarskich.

Prawdziwy luty objawił mi się kiedyś podczas kilkudniowego pobytu w Istebnej, Koniakowie i w Jaworzynce. Zaprzyjaźniony ze mną pan leśniczy poinformował rzeczowo, że jesienią spadł

śnieg i w wielu miejscach „potrzyma” aż do maja. A właśnie w lutym – odbywa się w lasach prawdziwe owocobranie. Nie dziwię się wcale tej informacji. Już dawno zauważyłem na ścianach dorodnych lasów świerkowych i jodłowych jasnobrązowe pasmo. Są to szyszki, które trzeba bardzo szybko zebrać, zanim w podmuchach cieplejszego wiosennego wiatru otworzą się i wysypią cenne nasiona. Na specjalnych drabinach pracownicy leśnictwa dokonują prawdziwych cudów w zakresie akrobacji. Praca na wysokości jest niebezpieczna – oni są zwinni, mają doświadczenie.

Dowiaduję się, że obecnie rosnące w tym rejonie drzewa iglaste zostały sprowadzone – dawno, dawno temu – ze Skandynawii. Tam podobno niezbyt chętnie owocowały dając mizerne nasiona. W specyficznym klimacie Beskidów udoskonaliły się, uszlachetniły sypiąc obficie życiodajnymi szyszkami. Obecnie Norwegia i Szwecja chętnie kupuje „materiał siewny”, gdyż ten gatunek iglastych doskonale nadaje się na maszty oraz instrumenty muzyczne...

Serpentyny dróg w Beskidach są prawdziwie „lutowo” oblodzone. Samochody kolebią się wolno w wyżłobionych koleinach, których nie potrafi wyrównać nawet najpotężniejszy pług. Zwały śniegu wcześniej zepchnięte z jezdni zalegają na poboczach ponad metrowymi pokładami. Tam się czuje smak zimy i klimat najkrótszego miesiąca w roku...

Cóż my dzisiaj na nizinie, w Zagłębiu możemy powiedzieć o lutym? Nic. Jego prawdziwy obraz możemy znaleźć jedynie w poezji, cytując wiersz Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej „Królowa Mrozu”:

Oto Królowa Mrozu idzie przez ulicę,  
otoczona przez dziką śnieżycę.  
Usta ma blade, zaciśnięte twardo  
i kapelusz z zaśnieżoną kokardą -  
w ręku list. Czarne słowa na białym papierze,  
z których mróz swój początek bierze.  
idzie prędko ku rzece. Zamarzłe ma oczy.  
Rzeka stanie, gdy Królowa w nią skoczy.

Można wreszcie przywołać fragment utworu poetyckiego Jarosława Iwaszkiewicza „Zima” pełnego wrażeń zmysłowych:



I oto leżą na wszystkim zasłony.

Z siwego nieba chmurą upadają gwiazdy

Zabite śniegiem. Lecą kracząc wrony.

I sanie gwizdzą gotowe do jazdy.

Autor „Sławy i chwały” urodził się w Kalniku pod Kijowem 20 lutego 1894 r., a więc w lutym. W swojej twórczości nie tylko snuł refleksje nad losem jednostki i dziejami społeczeństw, ale bezustannie zastanawiał się nad upływem czasu. Opisując pejzaż ziemi i nieba charakteryzował mijające lata, przechodzące pory roku i poszczególne miesiące. Symboliczne jest to, że – tuż przed śmiercią – planował tom małych form prozatorskich „Kalendarz”. Z dwunastu zamierzonych utworów napisał tylko jeden: „Dzień lipcowy”.

Czas formuje i czas niszczy...

—

---

**Prof. Włodzimierz Wójcik** (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*



**Zobacz też:**

Styczeń w historii, literaturze i sztuce

---

# Styczeń w historii, literaturze i sztuce



Artur Grottger (1837-1867), *Pojednanie*, olej na płótnie. 21,3 x 28,8 cm, dawniej w Muzeum Sztuki we Lwowie. skradziony w 1992 roku

**Włodzimierz Wójcik (1932-2012)**

*Sosnowiec*

Pierwszy miesiąc roku, styczeń ma dla mnie wielorakie oblicza. Jedno kształtuje się z wielowarstwowych pokładów narodowej historii, której ważnym elementem było powstanie 1863 roku.

Wydarzenia tamtego heroicznego i zarazem tragicznego czasu powołały do życia nie tylko bliskie sercu karty dzieł literackich – wierszy, nowel i powieści – Norwida, Kraszewskiego, Orzeszkowej, Żeromskiego czy Piotra Chyńskiego, ale także – a może przede wszystkim – wstrząsające obrazy Artura Grottgera. To one zawładnęły wyobraźnią każdego wrażliwego Polaka, każąc mu snuć refleksje nad powikłaniami losu i skomplikowanymi prawami historii naszego narodu. Z grottgerowskich kartonów spoglądają na nas pełne ekspresji twarze uczestników potyczek z wojskami kozackimi, czujne oczy „kryjaków” przedzierających się przez gęstwiny ośnieżonej puszczy, postacie przerażonych kobiet i dzieci. Trudno zapomnieć obrazy przedstawiające spustoszone chaty i dworki, zimne mury wyludnionej nocą Warszawy, sznury poganianych na wschód zesłańców, zamykanie kościołów, aresztowania i „branki”. Jedno z dzieł artysty – znane zresztą w kilku studyjnych wersjach – ma wymowę szczególną. Oto na leśnej polanie leżą martwi zbliżeni do siebie głowami: styczniowy polski powstaniec i „sołdat” w szynelu – „pojednani” (jak głosi tytuł obrazu) w przestrzeni, która wymyka się już prawom historii.

Jest również dla mnie styczeń miesiącem, który – a było to ponad siedemdziesiąt lat temu – dawkował tak bardzo oczekiwane wiadomości idące różnymi drogami od stromy Warszawy. Tu, w zagłębiowskiej ziemi z drzeniem serca przeżywaliśmy zryw powstańczy (radość przemieszana z niepokojem), przygnębienie

spowodowane klęską, troskę zarówno o ludzi, jak też i o mury, o narodowe pamiątki stolicy. Wieść o wyzwoleniu Warszawy była kojąca, relacje o zniszczeniach tłumili – niestety – euforię.

Styczniowy śnieg i mróz, będący w normalnych czasach sprzymierzeńcem zimowych przygód i młodzieńczych szaleństw, w tym szczególnym 1945 roku miewał często smak i barwę krwi, mieszał się z dymami pogorzeliisk.

W drugiej połowie stycznia przez cztery ostatnie doby okupacji baterie niemieckich ciężkich dział osadzonych na mocnych fundamentach na Górze Gzichowskiej w Będzinie bez przerwy zionęły ogniem w kierunku północnym. W tym piekle rytmiczny huk stawał się – to już paradoksalne – normą. Chwilowa przerwa, znaczona ciszą, zastanawiała i nawet niepokoiła, siedzieliśmy schronieni po piwnicach i w suterrenach okazalszych domów wyglądając na zewnątrz, co się dzieje. A działo się to, na co tak bardzo czekaliśmy od września 1939 roku. Po drogach bitych i nawet polnych ścieżkach snuły się furmanki wiozące wraki ludzkie, to co pozostawało z dawnych butnych nadludzi. Posuwali się ku zachodowi. Tym razem bez fanfar, bez blasku, bez zwycięskiego blichtru...

Styczeń 1945 roku miał przecież i sporo urody. Weszliśmy – już wtedy – do prawdziwie polskiej szkoły. Już z rozszerzonym językiem ojczystym, z historią, geografią, piosenką patriotyczną, zespołami recytatorskimi, w których programie – po raz pierwszy

oficjalnie - przewidziane były teksty Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej, Orzeszkowej, Żeromskiego i Wyspiańskiego. Co to była za radość, gdy w skróconej inscenizacji „Warszawianki” - ja, wówczas chudzielec, grałem rolę samego Chłopickiego. W skromnej remizie strażackiej recytowałem też wielokrotnie - właśnie w te zimne styczenie - podniosłem wersy naszego CZWARTEGO WIESZCZA:

Teatr mój widzę ogromny,  
wielkie powietrzne przestrzenie,  
ludzie je pełnią i cienie,  
ja jestem grze ich przytomny.  
Ich sztuka jest sztuką moją,  
melodię słyszę chóralną,  
jak rosną w burze nawalną,  
w gromy i wichry się zbroją.

Podniosły ton Wyspiańskiego - właśnie urodzonego 15 stycznia

1869 roku – bardzo podobał się mnie i moim rówieśnikom, zacierał bowiem szarżę dni okupacyjnych.

Z tych dawnych styczniów, z minionych obszarów dzieciństwa, wraca mi co pewien czas sympatyczna melodia do słów (jak się później dowiedziałem) Marii Konopnickiej:

Za tą głębią, za tym brodem

Tam stanęła rzeka lodem;

ani szumi, ani płynie,

Tylko дума w swej głębinie:

Gdzie jej wiosna,

Gdzie jej zorza?

Gdzie jej droga

Het do morza?

Tekst Konopnickiej, owiany smutkiem i nostalgią, kończył się przecież pierwiastkiem nadziei: „Przyjdzie wiosna, przyjdzie



hoża”. W owych ciężkich czasach taki prosty wiersz dla maluczkich miał wcale niemałe znaczenie. Smak zimy, smak wiosny, młodości i nadziei. A przysłowia zawsze mówiły ludowe, od wieków formułowane przysłowia: „Gdy w styczniu deszcz leje, robi złe nadzieje”; „W styczniu grzmoty, częste słoty”; „Jak styczeń zachlapany, to listopad zapłakany”.

Teraz, kiedy przypominam sobie te przysłowia, raz złowróżbne, kiedy indziej nieco filuterne, myślę o tym styczniu z 1863 roku, kiedy to nasi powstańcy, tak sugestywnie uwiecznieni w kartonach Artura Grottgera, poprzez właśnie słoty, dni „zachlapanie”, przez śnieżyce przedzierali się duktami leśnymi i bezdrożami ku WOLNOŚCI. Ideowym spadkobiercą owych „Kryjaków” był Józef Piłsudski.

---

**Prof. Włodzimierz Wójcik** (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

**Zobacz też:**

Ostatnia podróż wieszczka



Jesień w poezji i malarstwie

Stanisław Wyspiański. Tradycja i uniwersalizm.

---

# Zmierzch Zachodu. Rozważania na Nowy Rok.

**Stefan Król** (1937-2015)

*London, Ontario*



Paryż, fot. Pixabay

*Drogom na betonowych słupach, miastom ze szkła i żeliwa,*

*Lotniskom rozleglejszym niż plemienne państwa*

*Nagle zabrakło zasady i rozpadły się.*

*Czesław Miłosz, „Oeconomia divina„*

Przemija postać świata. Oczywiście nie jest to żadną nowością w dziejach. Od połowy XVIII w., czyli od narodzin angielskiej

rewolucji przemysłowej, rozpoczęło się gwałtowne przyspieszenie tempa zmian cywilizacyjnych, które po upływie dwóch stuleci ogarnęły już najbardziej oddalone miejsca naszego globu. Towarzyszące materialnym przekształceniom Zachodu zmiany duchowe wdzierają się w dusze i umysły, przebudowując układy pragnień i motywacji, hierarchię wartości, orientacje poznawcze. Ogrom nagromadzonych zmian przekroczył, jak się zdaje, masę krytyczną i grozi zawaleniem całego zachodniego świata. Naszego domu.

Zachód umiera, zarówno fizycznie, jak i, a może przede wszystkim, duchowo. Narody europejskie mają ujemny przyrost naturalny. W siedemnastu krajach europejskich więcej jest pogrzebów niż narodzin, więcej trumien niż kołyszek. Wśród tej siedemnastki jest od niedawna Polska.

Nasz świat wywrócił się do góry nogami. To, co wczoraj było słuszne, prawdziwe i dobre, dzisiaj jest fałszem i złem. To, co niegdyś było niemoralne i karygodne - rozpusta, aborcja, eutanazja, samobójstwo - dziś stało się „postępowe” i „chwalebne”. Dawne cnoty stały się grzechami, dawne grzechy - cnotami.

To, co wielkie i szlachetne jest z góry podejrzane; trzeba zrzucić go z piedestału i poddać oglądowi. Moralność

spozstrzega się jako obłudę, szczęście jako samooszustwo. Ten, kto po prostu ufa pięknu i dobru, ten albo reprezentuje karygodną nieświadomość, albo żywi jakieś złe zamiary. – pisał, jeszcze wtedy kardynał Ratzinger.

Właściwą postawą człowieka „nowoczesnego” jest podejrzliwość wobec prawdy dobra i piękna. Demaskować pod fałszywą skórą baranka, w którą przebiera się cnota, przebiegle ukrytą wilczą paszczękę łajdactwa – oto zalecany przez „mistrzów podejrzeń” sposób naszego udziału w kulturze, godny człowieka „światłego”. Nic zatem dziwnego, że ze współczesnych dyskusji moralnych zniknęło pojęcie grzechu, pojawiło się natomiast pojęcie „poprawności politycznej”. Nie ma już grzechów, są tylko różne sposoby życia, które należy zaakceptować jak prognozę pogody: zapowiadano deszcz, trzeba wziąć parasol. W zachodnim – tzn. do niedawna: chrześcijańskim – świecie moralnym opartym na Biblii, pewne style życia były naganne, człowiek przeżywał poczucie winy, bał się gniewu Bożego, brał pod uwagę w kalkulacjach życiowych, że Sodomia i Gomora zostały zniszczone. Dzisiaj ten sam styl życia, z którego zasłynęli mieszkańcy Sodomy jest powodem „parad dumy”. Brak jakichkolwiek zahamowań, brak norm i wskazań, odpadnięcie od normy przez Boga wyznaczonej, powoduje, że nie wiemy, gdzie jest zero, nie wiemy, gdzie jest dół, a gdzie góra, nie jest możliwy więc „staromodny” upadek pionowy. Wobec tego spadamy we

wszystkich kierunkach.

Nasza cywilizacja, nasz zachodni, euroatlantycki świat opierały się na fundamentalnej zasadzie: człowiek jest złożeniem ciała i duszy. Jak to złożenie wygląda – różnie o tym mówiono, nie było powszechnej zgody. Ale sama zasada nie ulegała wątpliwości. Dla tych, którzy mówią, że nigdy duszy nie widzieli, tę samą zasadę można sformułować w następujący sposób: nasze ludzkie – podkreślam: *ludzkie* – życie nie da się spędzić bez jedzenia i chodzenia do ubikacji, ale też: i bez trwogi, czy płomienia tęsknoty. Obok chleba naszego powszedniego człowiek pragnie wody życia wiecznego.

Nowoczesność, jeśli już mówi o trwogach i tęsknotach, to odnoszą się one wyłącznie do ciała. Priorytet, jaki w ludzkich sprawach przyznają ciału ludzie Zachodu, nie ma sobie równych w historii. Ciało i jego potrzeby: realne i wykreowane przez rządzący wszystkim rynek oraz szybko zmieniające się mody – zdrowie, seks, estetyka, ubrania, sport, operacje plastyczne, kolor włosów, dieta cud – są przedmiotem nieustającej troski i niemal wyłącznego zainteresowania. Dla ciała potrafimy zdobyć się na poświęcenia i wyrzeczenia, pozbyć się szkodliwych ponoć – według telewizyjnych „autorytetów” – dla sprawności ciała, nawyków, czy zadawać sobie tortury w *fitness clubach*. Zacheca się nas tysiącami rad do troszczenia się o własne ciało i do zaspakajania jego wymagań, ale troska o własną duszę nigdy nie

była tak podejrzana jak dzisiaj. Kto dziś troszczy się, poza kościołem, o duchowe środowisko człowieka? Ale też kościół z jego „doktrynalnym uporem” jest przez wielu postrzegany jako instytucja totalitarna.

Przy okazji zwróćmy uwagę na jeszcze jedną oznakę dekadencji naszej kultury. Klienci *fitness clubów* są z pozoru, ale tylko z pozoru, podobni do średniowiecznych samobiczowników. Dla tych średniowiecznych umartwienie się było drabiną ucieczki z motylego żywota ludzkiej doczesności, do wieczności. Ci dzisiejsi pragną jedynie przedłużyć rozkosze cielesności, zachować dozgonną młodość. Wieczność ich nie interesuje, przestała być wartością. Dla normalnego mieszkańca rynkowo - konsumpcyjnego świata nie warta jest najmniejszego zabiegu. Wypadek bez precedensu w dziejach. Wszystkie znane nam kultury bowiem w ten lub inny sposób, pod tą lub inną nazwą, stawiały wieczność jako cel życia, lub przynajmniej jako polecany wzór życia. Całkowite zamknięcie się w doczesności przytrafia się ludziom pierwszy raz. Co z tego wyniknie, nikt nie potrafi przewidzieć, ale nie można o tym myśleć bez niepokoju.

Cywilizację i kulturę Zachodu stworzyło chrześcijaństwo. Jeśli więc Zachód odchodzi od chrześcijaństwa, to tym samym gubi się prawda o naszych dziejach i o naszej kulturze, naszych zobowiązaniach wobec przyszłości, o naszej odpowiedzialności za przyszłość. Otwiera się na oścież bramę dla świata, z którego

wszelkie wartości zostały wygnane. Na początku XX wieku Fryderyk Nietzsche, twórca filozofii świata bez wartości, ogłosił z butą: Bóg umarł. Od tego czasu zwolennicy wolności do wszystkiego, przy jednoczesnej wolności od wszelkiej odpowiedzialności, zobowiązań i obowiązków powtarzają za nim tezę o śmierci Boga. W istocie to nie Bóg umarł, a umarł człowiek. Cywilizacja odrzucająca chrześcijaństwo – swoją własną kolebkę, zaczyna nienawidzić siebie samej i dąży do zniszczenia swego ludzkiego oblicza. Czy Europa – gdzie proces tworzenia cywilizacji bez wartości jest bardziej zaawansowany niż w Ameryce – która nie godzi się na wymienienie w swojej Konstytucji imienia Boga, czy Europa, która wprowadzi nie prześladowanie chrześcijan i pozwala im, w ramach tolerancji dla dewiantów, wykonywać swobodnie swoje egzotyczne obrzędy i przestrzegać dziwacznych nakazów i zakazów, ale chrześcijan traktuje jak obywateli drugiej kategorii, niedopuszczając ich do niektórych unijnych stanowisk (*casus* Rocco Buttiglione) nie jest na drodze do samounicestwienia?

Do opisu sytuacji duchowej świata zachodniego można przywołać anegdotę Stanisława Lema. Mężczyzna wyskoczył z pięćdziesiątego piętra. Na wysokości trzydziestego piętra pyta go ktoś: co słyhać? Ten odpowiada: dziękuję na razie dobrze. Właśnie: na razie jeszcze dobrze.

Chcę wierzyć, że ten obraz jest nazbyt pesymistyczny, że nie jest



to spadanie z wieżowca, ale osuwanie się po stoku. Człowiek dźwigając ciężar na stoku stromej góry łatwo może z ciężarem stoczyć się na dół, znacznie trudniej podejść mu w górę, ale jest to możliwe. Nawet po upadku może podjąć wysiłek powtórnego wspinania się i wierzyć, że podnoszony ciężar nie okaże się kamieniem Syzyfa. Jeśli zabraknie nam tej wiary i tej nadziei, to w obliczu wyzwań, które przyniósł nam XXI wiek, w szczególności wobec wyzwań islamu, Zachód może się tylko zawalić. Spadkobiercy na schedę po naszej cywilizacji są już wśród nas. Wystarczy przejść się ulicami większych miast Ameryki czy Europy, żeby to zobaczyć. Na ulicach wymija się i miesza publiczność wielokulturalnych rzeczywistości, wielu kosmosów. Od pewnego czasu używamy słowa „pluralizm”, mówimy, że budujemy społeczeństwa wielokulturowe, żeby zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje wokół nas. Ale obawiam się, że te terminy nie opisują w pełni tego, co widzimy. Bo tu nie chodzi o różnice poglądów, czy różnice obyczajów, tu idzie o różnice światów. Ich wewnętrzne zasady nie są wzajemnie przekładalne, jesteśmy dla siebie przybyszami z różnych planet. I w takiej sytuacji musimy ze sobą współżyć. Innego wyboru nie ma: Zachód przestałby również być Zachodem, gdyby wybrał, inny niż współżycie, wariant. Pusty plac po nowojorskich wieżach, wybuchy na dworcu w Madrycie i w metrze londyńskim, niszczycielskie rozruchy w większych miastach Francji, pokazały jak stromy jest stok, po którym Zachód musi dźwigać kamień swojej przyszłości. W każdym razie zatrać chrześcijańskiej

tożsamości jest strącaniem kamienia w przepaść.

---

**Stefan Król** – *kanadyjski fizyk, felietonista.*

**Za udostępnienie materiałów dziękujemy żonie autora,  
pani Mariannie Król z Kanady.**

**Redakcja**

**Zobacz też:**

Z historii Świąt Bożego Narodzenia

Życie rodzinne Stanisława Moniuszki

Kiedy ranne wstają zorze

---

# Bukowe sanktuarium



Buki jesienią, fot. ArtTower z Pixabay

**Włodzimierz Wójcik** (*Sosnowiec*)

Każdy wie, że kiedy wchodzi się do Katedry na Wawelu, przechodzi człowieka dreszcz wzruszenia i rodzaj uniesienia. Podobne wrażenia odnosiłem zwiedzając Bazylikę Świętego Piotra w Watykanie, Katedrę Notre-Dame w Paryżu, katedry w Chartres i w Kolonii, Katedrę Świętego Pawła w Londynie i wiele innych. Cudownych dzieł ludzkiej maestrii zrodzonych z myśli o sprawach wyższego rzędu...

A przecież są też pomniki, które budują w naszej duszy podobne uniesienia, które dają nam wrażenie bliskiego obcowania z istotą Najwyższą, powodują nasze uduchowienie i uwznioślenie. Są blisko nas, czasem obok nas. Nie zawsze je zauważamy, nie zawsze doceniamy. O co chodzi?... Po prostu o drzewa, które - uformowane w pewne konfiguracje - tworzą swoiste sanktuaria. W nich jest też możliwa łączność z Absolutem.

Nie mam na myśli szczególnie egzotycznych krajów i usytuowanych w nich dorodnych puszczy z fenomenalnym drzewostanem. To zbyt dalekie. Nie zawsze osiągalne. Rzecz idzie o te obszary, które nas na co dzień otaczają. Od kilku dziesięcioleci związany jestem z lasem. Nie wyobrażam sobie życia w regionie, w którym panuje niedostatek drzew, krzewów, łąk. Czy ja jestem wyjątkiem? Ależ nie...

Adam Mickiewicz ze wzruszeniem wspominał na obczyźnie swoje „domowe drzewa”, nadniemeńskie łąki, biel łąnów gryki. Rzecz to całkiem zrozumiała. Oddalenie i związana z tym bolesna nostalgia - robiły swoje. A przecież my mamy domowe drzewa na co dzień. To prawdziwy luksus. Lasy dębowe, bukowe, eleganckie brzeziny. Ileż w tym zdrowia, ale i poezji, którą bezustannie znajdowali tam najznamienitsi lirycy, tacy na przykład, jak Staff, który w wierszu Szum drzew dostrzegał urzekającą muzykę, jaką niesie przyroda:

*Najpiękniej ta piosenka śpiewa,*

*Którą się w sen kołyszą drzewa.*

*Kiedy w powiewie liść szeleści*

*I ucho jak milczenie pieści.*

*Posłuchaj miła tego szumu,*

*Wpiszę go tobie do albumu.*

Z tą poezją w sercu spaceruję tedy po naszych „domowych” lasach. Kazimierz Górniczy, Maczki, Grodziec, Gródków, Psary, Łagisza. To właśnie tutaj, jeśli się wnikliwie spogląda na świat, można znaleźć urocze zakątki, godne literackiego utrwalenia. Tym razem pozwolę sobie głosić pochwałę buka. Dlaczego? Zobaczymy. Wiemy, że buk zwyczajny osiąga wysokość 40 metrów. Rośnie na półkuli północnej, a więc w naszym regionie. Widać go w północno-zachodniej części Polski. Sięgnął także ku Litwie. Stał się drzewem dostojnym, czego poetyckim wyrazem jest wprowadzenie go do naszej epopei narodowej. To buki właśnie były pierwszymi odbiorcami cudownego koncertu Wojskiego, wykonanego z czuciem i prawdziwą maestrią na rogu: „Wysłuchawszy rogowej arcydzieło sztuki / Powtarzały je

dęby dębom, bukom buki”. W górach buk sytuuje się w reglu dolnym. Kazimierz Tetmajer w Pieśni o Jaśku zbójniku dawał do zrozumienia, że buk był drzewem bliskim sercu góralskiego ludu. Pisał: „Z Orawskiego Zamku chłopcy pozierają, / czy się popod Tatry buczki ozwijają?” W ludowych piosenkach Podhala powtarzają się w różnych wersjach znane nam wszystkim słowa: „(...) Hej, bo mi się bucyna, zacyno łozwijać, zacyno łozwijać...” W młodopolskiej poezji buk zyskał nobilitację Karol Brzozowski w wierszu Stara przędza pisał: „W stawie się czarne przegładają buki / Księżyc z gwiazdami drży na szybie wód”.

Sławię buki ponieważ towarzyszą mi od najwcześniejszych lat dzieciństwa. Urzeka mnie gładka, srebrzystoszara kora, wdzięczny krój jajowatych liści. Godzinami mogę przyglądać się miseczkom owocowym, które mają dwa trzykanciaste orzeszki, nazywane bukwia. Mało kto zapewne wie, że są jadalne po uprażeniu. Zawsze w tartakach rozpoznawałem bukowe drewno: ciężkie, twarde, różowawe, łatwo łupliwe; pamiętam słynne sklejki służące do robót w ramach praktycznych zajęć szkolnych, bukowe beczki, klepki podłogowe, gięte meble o wdzięcznych kształtach. Jednak chodzi nie tylko o pożytki ekonomiczne. Idzie o doznania serca. Takie doznania przynosi moja - i przecież nasza - bukowa aleja w Grodzieckim Lesie, na przecięciu leśnych dróg, tuż pod Łagiszą, pod Jazowem. Zimą drzewa przypominają wymyślne rzeźby, latem tworzą zielony baldachim, czy też rodzaj monumentalnego stropu świątyni. Tam można odpocząć, zebrać

myśli, uporządkować psychikę.

Zimą w tym zakątku trwało wycinanie wiatrołomów świerkowych. Wiedziałem jednak, że piła i siekiera nie tknie kompleksu bukowego, który w naszym rejonie jest czymś szczególnie cennym. To prawdziwy zabytek przyrody klasy wysokiej. Spacerując romantycznymi ścieżkami leśnymi z moją wnuczką Julią i „drugim” dziadkiem, Danielem obserwuję dzień po dniu jak ten zakątek staje się prawdziwą ptasią filharmonią. Zanurzając się w świat przyrody zawsze na nasze romantyczne spacerunki brałem ze sobą dzieci, dziś już w grę wchodzi pokolenie wnucząt. Niech od najwcześniejszych miesięcy życia chłoną żywioł natury, której częścią jest człowiek. Wówczas szkolne godziny „wychowania ekologicznego” nie będą martwe, ożyją we wspomnieniach. Podziwiając od wielu lat bukowe sanktuarium, dzisiaj nie siedzę jednak z założonymi rękami. Przywożę z Gorzenia Górnego, z Zegadłowiczowego gniazda, małe samosiejki buka czerwonego. Może zadomowią się w Sosnowcu, czy Łagiszy? Zobaczymy... Wczesną wiosną miliony młodych listków ciekawie spoglądały na świat – tworząc rodzaj delikatnej koronki. Rozliczne pąki wychylały się ku ludziom, którzy do lasu przynoszą żar gorących serc i baczą pilnie, aby nie zaprószyć w nim ognia, grożącego jego unicestwieniem... Teraz liście już pięknie się rozwinęły i tworzą pyszny baldachim, przez który przedzierają się figlarne promyki słońca. Strzeżemy naszych domów, muzeów, obiektów kultu religijnego, strzeżmy tedy także



naszych lasów, naszego wspólnego dobra i piękna. Są one przecież fundamentalnym komponentem naszej egzystencji.

**Prof. Włodzimierz Wójcik** (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*